

Jakub B.

### Szymon i Maria są moimi dziadkami...

Szymon i Maria są moimi dziadkami i rodzicami mojej mamy. Są nazywani góralami karpackimi lub Łemkami, gdyż obydwójce urodzili się w Szczawniku w Beskidzie Sądeckim. Wraz z wieloma innymi rodzinami łemkowskimi zostali przesiedleni podczas "Akcji Wisła" w 1947 r. z terenów Bieszczad z miejscowości Szczawnik, na tereny zachodnio - południowej Polski.

Postanowiłem opisać historię mojego pradziadka Jana i jego żony Anny, gdyż uważam, że jest ciekawa i interesująca. Byli oni rodzicami mojego dziadka Szymona. Pradziadek Jan urodził się 16 marca 1909 r. w miejscowości Szczawnik, a jego żona Anna 23 lutego 1911 r. w miejscowości Żegiestów. Pradziadek przejął gospodarstwo po swoim ojcu w miejscowości Szczawnik. Zajmował się uprawą roli i hodowlą zwierząt. Jego pasją była hodowla koni huculskich. Był też świetnym rymarzem, znanym i cenionym w tamtejszej okolicy (wytwarzał uprzęże dla koni). Zawód ten przechodził z pokolenia na pokolenie. Moja prababcia również pochodziła z rodziny zajmującej się rolnictwem. Jednak ich gospodarstwo było tak małe, że całą rodziną musieli w okresie letnio – jesiennym najmować się do pracy u innych bogatszych rolników, żeby móc przeżyć nadchodzącą zimę. Rodzice mojej prababci pracowali w polu, a ona wraz ze swoim rodzeństwem jako dziecko musiała pasać bydło, gęsi i owce u innych gospodarzy. W tamtych czasach rzadko uzyskiwało się zapłatę w formie pieniężnej, dlatego najczęściej otrzymywali za pracę warzywa, ziemniaki i zboże. W 1932 r. pradziadek Jan i prababcia Anna wzięli ślub w cerkwi. Obydwójce ubrani byli w tradycyjne, ślubne stroje łemkowskie.

Dnia 7 lipca 1947r. mój pradziadek Jan ze swoją żoną Anną, mamą Marią i dwójką dzieci 12-letnią Antoniną i 5-letnim Szymonem musieli opuścić rodzinny Szczawnik i udać się w nieznaną. Ojciec mojego pradziadka Jana, Stefan i dwójka rodzeństwa mojego pradziadka zmarła jeszcze przed wyjazdem i zostali pochowani na tamtejszym cmentarzu w Szczawniku. Niestety do dnia dzisiejszego nie zachowały się ich groby. W trakcie wysiedlania mogli zabrać ze sobą konia, krowę i tylko tyle rzeczy, które zmieściły się na jeden wóz. Reszta musiała zostać. Nie mogli zebrać płodów rolnych, gdyż w lipcu nie było to jeszcze możliwe. Podróż ze Szczawnika trwała około tygodnia. Jechali w wagonach towarowych. Został im przydzielony jeden z budynków poniemieckich we wsi Jaroszkówka. Mój dziadek Szymon wspomina, że była to najtrudniejsza jesień i zima do przetrwania. Po przybyciu nie było już możliwości zasiania zboża lub posadzenia warzyw czy ziemniaków, żeby było co zebrać na zimę. Ówczesna władza tłumaczyła ludności, że wysiedlenie jest tylko tymczasowe i niedługo będą mogli wrócić z powrotem do swoich domów. Wszystkich podtrzymywała myśl, że wrócą z powrotem w Bieszczady. Żyli bardzo biednie. Ich głównym posiłkiem codziennym były ziemniaki z mlekiem. Pradziadek dorabiał jako rymarz naprawiając i szyjąc uprzęże dla koni. Wykonywał też różne narzędzia z drewna: łyżki, wałki do ciasta, grabie, trzonki do łopat, siekier i wideł. Robił kociuby (łopaty do wyciągania chleba z pieców) i bodenki (naczynie do wyrobu masła). Dzięki tym zajęciom udało im się przeżyć zimę. Z nastaniem wiosny pradziadek uczestnicząc w zebraniu wiejskim dowiedział się, że na razie nie mają możliwości powrotu w Bieszczady i wszyscy przesiedleńcy powinni pomyśleć o zaklimatyzowaniu się w swoim nowym miejscu pobytu. Przedstawiciele władz poinformowały mieszkańców, że każdy może sobie wziąć tyle pola, ile będzie w stanie

obsiać i obrobić całą rodziną. Ludzie między sobą dzielili ziemię. Niestety nie każdy kawałek był urodzajny. Po pierwszych zbiorach okazało się, że niektórzy zebrali dobre plony, a inni mieli tak słabe, że znów groził im głód. Dlatego w kolejnym roku mieszkańcy między sobą wymieniali się polami. Ci którzy mieli lepsze pola w danym roku zamieniali się na gorsze. W ten sposób wszyscy mieli możliwość uzyskania dobrych plonów chociaż co drugi rok. Jeżeli pradziadek nie miał dobrego roku na zbiory, to już od wczesnej jesieni najmował się do pracy u innych gospodarzy w innych wsiach. Pomagał w kopaniu ziemniaków, oraniu ściernisk (pola po zebranych zbożach) na zimę. W zamian otrzymywał zboże na siew przyszłoroczny i ziemniaki. W latach 50-tych nastąpiło tak zwane scalenie gruntów i wszyscy dostali ziemię wyznaczoną przez inżynierów. Ilość gruntów ornych została przydzielona pradiadkowi według ilości osób żyjących w gospodarstwie, natomiast łąki przydzielono według ilości sztuk bydła, koni lub owiec będących w gospodarstwie. Pradziadek otrzymał 10,5 ha ziemi dla własnego użytku. Na polach siał różnego rodzaju zboża, sadił ziemniaki i warzywa. Całe pola obrabiał parą koni. Praca trwała od wczesnego świtu do późnego zmierzchu. Do orki używano pługów 1 – skibowych. Trawę na siano i zboże kosono kosami. Siano i snopki z pól zwożono na wozie końmi. Ziemniaki kopano ręcznie motykami. Snopki ze zbożem były młócone w stodołach na klepiskach tzw. cepami. Zboże wożono do młyna i po zmieleniu uzyskiwano mąkę. W latach 60-tych pradziadek podjął się jeszcze dzierżawy 7 ha od Skarbu Państwa. Razem miał wtedy 17,5 ha. Od kilku lat na polu pomagał mu już dorosły syn i córka. Pod koniec lat 70-tych pradziadek oddał całe pole do Skarbu Państwa w zamian za emeryturę dla siebie i swojej żony, pozostawiając sobie tylko 0,5 ha (tyle było można). Jego syn, żeby móc prowadzić własne gospodarstwo musiał kupić sobie ziemię. Z powodu braku pieniędzy, synowi mojego pradziadka nie udało się kupić dużo ziemi dobrej klasy. Obawiając się, że z powodu kupna słabej klasy ziemi może nie mieć z czego utrzymać swojej własnej przyszłej rodziny (myślał o ożenku), postanowił podjąć pracę na cały etat w pobliskim Państwowym Gospodarstwie Rolnym (PGR), a już tylko po pracy zajmować się swoim niewielkim gospodarstwem. W składzie jego gospodarstwa był 1 koń, 2 krowy kilka sztuk trzody chlewnej, kilka owiec oraz kury. W 2007 r. gospodarstwo przejęła moja mama, która jest absolwentką technikum rolniczego o specjalizacji uprawa roślin i hodowla zwierząt.

Pradziadek będąc na emeryturze tęsknił za pracą z drewnem, dlatego na prośbę sąsiadów wciąż wytwarzał dla nich swoje słynne wyroby: drewniane grabie, trzonki do siekier i łopat lub klepał kosy (to znaczy ostrzył je). Ta czynność polegała na kładzeniu ostrza kosy na tak zwanej babce (specjalna kostka metalowa) i delikatne uderzanie młotkiem na ostrze kosy. Nie pobierał przy tym już żadnych pieniędzy ciesząc się tylko tym, że wszyscy go odwiedzali. Czuł się przy tym potrzebny. Zmarł on ukończywszy 90 lat. Przeżył na Dolnym Śląsku 52 lata. Podczas życia był szanowanym i cenionym przez innych mieszkańców sąsiadem. W swoim życiu pracował w wielu zawodach. Zawsze twierdził, że wszyscy powinniśmy się nawzajem szanować, gdyż każdy zawód jest ważny. Wystarczyłoby człowiekowi jeden dzień popracować w określonym zawodzie, żeby nabrać do niego szacunku. Moi pradziadkowie zostali pochowani na cmentarzu parafialnym w Zamienicach, dzięki temu mam możliwość co niedzielę przed Mszą Świętą odwiedzać ich groby. Jestem dumny, że miałem w rodzinie takiego przodka. Uczę się zawodu technika elektryka w Zespole Szkół Nr 1 im. prof. Bolesława Krupińskiego w Lubinie, gdyż nie odziedziczyłem talentu do pracy w drewnie ani nie czuję, że praca na roli będzie sprawiać mi przyjemność.



Walek do ciasta.



Bodenka.



Narzędzia pradziadka, którymi pracował przywiezione ze Szczawnika



Grabie zrobione przez mojego pradziadka w latach 80.



Strug do drewna ze Szczawnika.



Moja prababcia.



Zabudowania łemkowskie moich dziadków.



Gorset (lajbik) łemkowski mojej prababci przywieziony ze Szczawnika.



Początek lat 80-tych, Jaroszkówka.